

Najdziwniejsza szkoła – 1944 -1945

Była zima przełomu lat 1944/45. Podwarszawski Konstancin - dziś uzdrowisko wybielony śniegiem, przykrywa kopuła pogodnego, zimowego nieba. Jedynie w północnej swej części niebo to było zasnuwane dymami, a w nocy rozświetlone łunami dogorywującej Warszawy, systematycznie palonej i burzonej przez okupanta. Konstancin jednak żył swoim wojennym życiem, była to wówczas istna Wieża Babel. Oprócz ludności miejscowej urządzili się tu jakoś uchodźcy z Warszawy, którym udało się wyrwać po upadku powstania, warszawiacy, których tu powstanie zastało, resztki powstańców, a wśród nich wielu rannych w prowizorycznym szpitalu, który z czasem przerodził się w znany dziś STOCER (Stołeczne Centrum Rehabilitacji). Najlicniejszą grupą ludności napływowej byli wysiedleńcy z całego pasa nadbrzeżnego Wisły, na której wówczas zatrzymał się front. Do tej grupy i ja się zaliczałem. Nie należy tu także zapominać o wojsku niemieckim, które także zajmowało wiele willi konstancińskich i całej tej zbieraninie ludności „umilało życie” głównie łapankami ulicznymi. Osoby złapane, często jeszcze wywożono do Niemiec, częściej jednak używano ich do takich prac na miejscu. Jak np. kopanie okopów na linii frontu. Stosowali także metodę otaczania w nocy części Konstancina i rano, dom po domu, wybierano ludność nadającą się do pracy. Dlatego też często brało się wieczorem koce i szło spać do otaczających lasów.

W tej sytuacji znalezienie jakiegoś locum nie było rzeczą łatwą. Nas, tzn. mnie z rodziną przysparzała wówczas nasza kuzynka Irena Gumowska, dziś znana pisarka i specjalistka „od jedzenia”. Pomimo bardzo trudnych warunków, tak mieszkaniowych, jak i bytowych, młodzież się uczyła oczywiście w warunkach nauki konspiracyjnej. W Konstancinie istniały wówczas dwa komplety. Jeden tzw. „Pani Jarosowej”, drugi bez specjalnej nazwy, do którego i ja uczęszczałem, mieścił się w willi „Kaliszanka”, w mieszkaniu udostępnionym nam przez nieocenioną p. H. Wartalską. Od opisywanego tu okresu minęło już z górą czterdzieści lat (jak to się stało?) i pamięć często zawodzi, także w moich wspomnieniach mogą być jakieś nieścisłości, ale przypominam sobie, że wówczas uczyli nas: prof. prof. Gruszecki - przedmioty humanistyczne, Gryglewiczowa - matematyczno-fizyczne i Lalikowa – przyrodnicze. Z profesorów tych nikt już nie żyje. Komplet uczniowski to: Teresa Wartalska, córka naszej „Mamy Wartalskiej”, dziś psycholog, Teresa Meisner żona znanego naukowca i konstruktora statków prof. J. Doerfera, Jullita Schiele, Izabella Dzierzgocka, Tadeusz Lalik, dziś naukowiec, historyk, Jerzy Twardowski - elektronik, budowniczy elektrowni w Iraku. Zbigniew Należyty - geolog, działacz sportowy i ja – rolnik. Wszyscy tu wymienieni jeszcze żyją.

W styczniu 1945 roku ruszyła ofensywa. Pamiętny 17 stycznia. Warszawa wolna, w Konstancinie wojska polskie i radzieckie. Życie zaczęło wracać do normy. Tylko że pojęcie normy jest dość względne. W dalszym ciągu nie bardzo było gdzie mieszkać, czym opłacać mieszkania, w co się ubrać i co jeść. Ale można już było bezpiecznie się poruszać i... normalnie, jawnie uczyć. Tylko gdzie? Wówczas to powstała z naszych połączonych kompletów najdziwniejsza szkoła pod oficjalną nazwą: Państwowe Gimnazjum i Liceum im. T. Reytana - Filia Skolimów-Konstancin. Byliśmy oddziałem warszawskiego Reytana z ul. Rakowieckiej pod dyrekcją prof. Ostrowskiego, który, jak mógł, tak "ojcował" zarówno szkole warszawskiej, jak i konstancińskiej. Pamiętam go jak

dziś: niski, nobliwy starszy pan, z imponującą siwą, senatorską brodą. Na budynek szkolny w Konstancinie przeznaczono chyba najobszerniejszą komfortową willę Werlheim. Przed wojną stanowiła ona własność przemysłowca Warlheima, w czasie okupacji zajmował ją gubernator i kat Warszawy - Fischer. Po zlikwidowaniu szkoły, a właściwie przeniesieniu jej do Skolimowa, budynek ten był siedzibą prezydenta B. Bieruta w tzw. dzielnicy rządowej, potem zajął ją Dom Dziecka, a następnie Dom Nauczyciela. Skąd nasi założyciele i profesorowie wyczarowali wszelkie pomoce naukowe, pozostanie dla mnie na zawsze tajemnicą. Z tym, że pod mianem „pomoce naukowe” mieściły się jakieś stoły, ławy (każda inna), tablice i coś do pisania. O pomocach naukowych, w dzisiejszym rozumieniu oczywiście, nie mogło być w ogóle mowy. Na przykład zawsze miałem inklinację do nauk przyrodniczych i nawet nie najgorzej mi to szło, ale pierwszy raz mikroskop zobaczyłem dopiero na SGGW. Warunki były naprawdę ciężkie, nie ma porównania z warunkami, jakie ma dzisiejsza młodzież, ale o tym mówić to wyważanie otwartych drzwi. O tym każdy wie i jest to zrozumiałe. Dziś może zazdrościć warunków, w jakich uczą się nasze dzieci (a nawet wnuki), ale niech oni mi zazdroszą, że chodziłem do takiej szkoły.

Do kompletów naszych, które były zaczątkiem, dołączyła teraz masa młodzieży miejscowej. Szkoła się rozrosła, poszerzyło się więc i grono nauczycielskie. Z naszych nieocenionych i niezapomnianych nauczycieli-opiekunów, nauczycieli-przyjaciół zapamiętałem prof. prof.: J. Ptaszyckiego - uczył łaciny, propedeutyki filozofii, Gruszeckiego - nauczał historii, Grygielewiczową - fizyka, chemia, B. Rydzewskiego - matematyka. B. Hlebowicza - biologia, ks. Żelazowskiego - religia, Frydrychową - język polski, Chlistunoffa - j. niemiecki, Z. Madejskiego - rysunek. Potem doszli: Chłapowski - historia i jednocześnie dyrektor szkoły, Lisiewicz - matematyka. M. Orłowicz - przysposobienie wojskowe i wychowanie fizyczne. Rozpoczęła się normalna nauka - kurs klasy IV gimnazjalnej. A jednak szczerze powiem - zrobiło się trochę żal dawnych czasów kompletowych. Był w nich jakiś urok, był element ryzyka, niebezpieczeństwa. Było coś z romantyzmu partyzantki, konspiracji. No i co tu dużo gadać było więcej swobody. A teraz co? Teczka, książki, zeszyty, klasa, lista obecności, do tablicy. Żeby zachować coś z dawnych czasów! Nigdy nie zhańbiłem się posiadaniem teczki, do samej matury książki i zeszyty nosiłem albo za paskiem, albo za cholewą.

Szkoła nasza szybko rozrastała się, tak że „Wertheim” był już za ciasny, pozostało w nim gimnazjum, a liceum przeniosło się do Skolimowa, do tzw. „Księżówki”. Był to budynek poseminaryjny i miał trochę klasztorny charakter. Z uczniów naszej klasy - poza tymi z kompletów - pamiętam: Barbarę Żugajewicz (dziś psycholog), A. Balicką (geolog), Z. Świętorzecką, M. Śmigielską (dziennikarz), M. Czachorowską (lekarz pediatra), Krystynę Schweitzer (plastyk), N. Przybarowską (polonistka), J. Kowalską, H. Straszewską (agronom). A. Terlikowską, H. Siewierską (zakonnica). A. Pawłowskiego (handel zagraniczny). B. Rybczyńskiego (reżyser filmowy), T. Węgiełek (prawnik). Z innych klas pamiętam: Lucynę Winnicką (aktor). Kazimierza Dzięwanowskiego (dziennikarz, pisarz), Andrzeja Mularczyka (dziennikarz, scenarzysta), Tomasza Hopfera (nieżyjący już sprawozdawca sportowy TV), Danutę Szczerską (TV), Lecha Pijanowskiego (nieżyjący znany krytyk filmowy, pisarz. specjalista od "łamania głowy", dobrze zapowiadający się poeta), Włodka Bedelka (wykładowca WAT), Tomasza Horna (geolog, poszukiwacz ropy w Algierii), Zbigniewa Cechnickiego (lekarz pediatra, działacz społeczny bezinteresowny opiekun chorych i niedołączonych).

Czy robiliśmy figle i kawały? Oczywiście, przecież nie byli byśmy młodzieżą. Za jeden z kawałów - nie wspomnę jaki - którego sprężyną była, o ile pamiętam, Marzena Śmigielska (najpiękniejsza dziewczyna w całej szkole, co jej zresztą do dziś zostało), sześć osób po prostu wyrzucono ze szkoły. Cała nasza szóstka wybrała się więc do Warszawy do dyr. Ostrowskiego. Wyprawa do Warszawy wówczas to nie to, co dziś. Najpierw trzeba się było przedostać przez rzekę Jeziorokę, na której nie było mostów, a potem pieszo lub rzemiennym dyszlem do stolicy. Dyrektor

nas przyjął, wysłuchał, popatrzył niby groźnie powiedział coś w sensie "Idźcie i nie grzeszcie więcej". Do szkoły nas z powrotem przyjęto i matury zdawaliśmy wszyscy. Innym dowcipem było przynoszenie do szkoły (zupełny idiotyzm) niewypałów, których pełno poniewierało się w okolicznych lasach. Nauczyciele mówili nam, że o znalezionych niewypałach należy meldować. My, chcąc być "pilni i dokładni" przynosiliśmy je do szkoły. Kiedyś po przytaszczeniu bomby lotniczej (niewypał z „Kukuruźnika”) i złożeniu jej na biurku w kancelarii, przez trzy dni nie było lekcji, aż do przybycia saperów. Dowcipy te jednak skończyły się tragicznie, śmiercią jednego z kolegów - Kazika Wątroby.

Myślę, że nie byliśmy łatwą młodzieżą, że nasi nauczyciele nie mieli z nami lekkiego życia. A przez wiele lat po maturze i również do dziś klasa nasza utrzymuje stosunki z byłymi nauczycielami. Niestety wielu z nich już odeszło. Czy zdołaliśmy im podziękować za ich wysiłek? Ich poświęcenie i oddanie? Czy potrafiliśmy się jakoś odwdziżyć za to, że niejednokrotnie głodni, niedostatecznie odziani, z nie opalanych mieszkań dążyli do naszej szkoły, by zrobić z nas światłych ludzi? Dlatego też na ręce profesorów będących nadal z nami pragnę tą drogą złożyć podziękowania w imieniu naszej klasy – prof. prof. Frydrchowej, Hlebowiczowi, Lisiewiczowi i Warmtowi. Sądzę, że wysiłek profesorów nie poszedł na marne. O tym, czym człowiek w życiu zostaje, decydują jego własne predyspozycje, charakter ale wychowanie i rola szkoły nie jest też bagatelna. A zrobić coś z tej zgrai, którą przygarnęła pod swe skrzydła nasza szkoła nie było rzeczą łatwą. Obok szkrabów idących na lekcje w pierwszej klasie poważnie kroczyły chłopcy po dwudziestce. Obok tych, co szli normalnym kursem szkoleniowym wrócili do ławek ci, którym wojna uniemożliwiła naukę. Wracali z konspiracji, z partyzantki, z obozów, z powstania. Niełatwo było zamienić „Stena” na pióro.

Żyliśmy w trudnych czasach i warunkach. Trzeba było myśleć nie tylko o nauce, ale i o tym, co zjeść, w co się ubrać. Warunki wojenne spowodowały, że my, nastolatki, byliśmy zupełnie dorosłymi ludźmi. Dzieciństwo, a często i młodość, jakoś tak "wypsnęło nam się między palcami" i może właśnie dlatego tak się zżyliśmy, że do dziś klasa nasza utrzymuje więzy koleżeńskie i przyjacielskie. Spotykamy się w małych grupach, czasami robimy większe zjazdy koleżeńskie, motorem których jest prof. B. Hlebowicz, z udziałem naszych byłych profesorów. Uroczysty taki zjazd odbył się w trzydziestolecie matury u kol. Barbary Żugalewicz. Byli obecni prof. prof.: Hlebowicz, Madejski, Warmt, Frydrychowa i Chlistunoi. Prof. Lisiewicz, o ile mi wiadomo, wykłada w warszawskim Władysławie IV. Drugi uroczysty zjazd odbył się w murach kochanej starej budy, "u Wertheima", gdzie udostępnił nam salę Dom Nauczyciela, wówczas tam się mieszczący. Ze wzruszeniem chodziliśmy po korytarzach i dawnych klasach. Na zjazd ten przybył także ostatni nasz dyrektor prof. Chłapowski. I naprawdę łzy się w oczach zakręciły, gdy po wspólnej kolacji dyrektor wyjął z kieszeni mały notesik i... odczytał listę obecności. Niestety, wielu było już nieobecnych. Gorzej, że potem dyrektor odczytał także stopnie za ostatnie półrocze. Drogi nasze po maturze rozeszły się, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą i naturalną. Ale więzy łączące nas w szkole, na tajnych kompletach, gdzie stanowiliśmy jakby jedną rodzinę, pozostały. Spotykamy się i przyjaźnimy do dziś.

Opracował: W. Rylski